

W oku kryzysowego cyklonu

KORRESPONDENCJA WŁASNA
Z WIELKIEJ BRYTANII

Przylatując do Londynu w drugiej połowie lipca znalazłem się od razu w oku cyklonu kryzysu gospodarczego. Był on tematem nr 1 nie tylko prasy, radia i telewizji, ale także prywatnych rozmów wszystkich obywateli brytyjskich. Może się bowiem Anglik nie interesować tym co się dzieje na Kontynencie (czyli w reszcie Europy) i na całym świecie i z reguły tak bywa. Nie może jednak być obojętny wobec tego, co się dzieje na wyspach brytyjskich. I nie jest obojętny.

Tak więc tuż po przylocie słyszałem ciągle o kryzysie funta i jego nieuchronnej dewaluacji wobec dolara, o słabej aktywności brytyjskiego eksportu, o rosnących cenach itp. Rychło też nadeszło wyjaśnienie w postaci rządowego projektu rozwiązania kryzysu ekonomicznego oraz umocnienia funta szterlinga przedstawione Izbie Gmin przez premiera Wilsona.

— Na 6 miesięcy zamrożone zostają ceny, płace i dywidendy, ale po tych 6 miesiącach przewiduje się dalsze surowe ograniczenia w tej dziedzinie.

— Wzrośnie o 10 proc. podatek od dochodów na okres jednego roku, a w tym samym stopniu podniesiony zostanie podatek od kupna. Skracca się okres spłat ratalnych szeregu artykułów (m. in. samochodów, których ceny nadto podniesiono).

— Wprowadza się podatek dodatkowy w wysokości 10 proc. od piwa, wina, spirytualiów i benzyny (dodajmy nawiasem, że spirytuali są w W. Brytanii i tak niesłychanie drogie; rodaków, którzy lubią wszystko przeliczać wg kursu PKO informuję, że pół litra wódki kosztuje 3-4 funty tzn. 600-800 zł w czym widać drożyznę wódki).

— Opłaty telekomunikacyjne zostaną podniesione od 1 stycznia 1967 r., abonamenty telefoniczne trzeba będzie opłacać za rok z góry (znowu wyjaśnijmy, że abonamenty te i tak już były wysokie i od dłuższego czasu nie dawały już uprawnień do pewnej licz-

by bezpłatnych rozmów; tak więc płaci się wysoki abonament, a nadto za każdą rozmowę dodatkowo normalną opłatę).

— Turcy brytyjczyści udający się za granicę poza strefę szterlingową będą mogli zabierać ze sobą tylko 50 funtów szterlingów na osobę (zamiast jak dotychczas 250 funtów). Oznacza to że Brytyjczyce, którzy jeżdżą na wakacje właściwie wyłącznie poza strefę szterlingową, będą wyglądać jak dziady wobec Niemców, Szwedów, Austriaków i innych narodowości, będą się musieli na wakacjach liczyć z każdym groszem.

— Spośród innych zamierzeń rządu wymienię jeszcze zamiar ograniczenia wydatków wojskowych oraz pomocy ekonomicznej o 100 mln funtów szterlingów.

Zamierzenia te wywołały burzę w rządzie i minister gospodarki Brown podał się do dymisji (wycofał zresztą szybko tę decyzję). W parlamencie rozpoczęły się paradygodnie ostre debaty. W prasie ukazywały się artykuły mocno krytykujące rząd, związki zawodowe weszły w ostry konflikt z rządem (paradoks — z rządem Partii Pracy, która jest przecież polityczną nadbudową ruchu związkowego). Mimo tej burzy ustawa o zamrożeniu cen, płac i dywidend została przez parlament przyjęta i weszła w życie.

Aliści moja gospodyni, u której wynajęam pokój, zaczęła mi donosić każdego dnia o tym, jakie artykuły spożywcze podrożały. Łatwo zamrozić płace, pracodawcy sami przypilnują, aby nikomu nie podnieść zarobków, ale jak skontrolować ceny? Było do przewidzenia, że przedsiębiorcy przerzucą nowe obciążenia (m. in. nowy podatek od każdego zatrudnionego) na barki świata pracy. I widać codziennie jak szybko się to odbywa. Nie ma się więc co dziwić protestom związków zawodowych przeciw zamrożeniu płac, reprezentują one w tym przypadku autentyczne interesy świata pracy.

Zastanówmy się jednak, skąd ten cały kryzys, jakie są jego przyczyny i jakie mogą być skutki rządowych przedsięwzięć antykryzysowych.

Trzeba tu przypomnieć, że Wielka Brytania jeszcze niedawno była najbogatszym krajem na świecie. Właściwie to jeszcze do czasu drugiej wojny światowej posiadała najwyższą stopę życiową w Europie. Po wojnie zaczęło się jednak szybko zmieniać i dziś dochód narodowy na głowę ludności wynosi w W. Brytanii 1600 dolarów, podczas gdy w NRF 1900, we Francji 1800. Tabele Wspólnego Rynku ustaliły następującą kolejność realnych zarobków „szóstki” oraz Anglii: Luksemburg 100, NRF 99, Francja 98, Belgia 92, Holandia 91, Anglia 90, Włochy 82. A przecież jest jeszcze parę innych krajów

(spoza Wspólnego Rynku), które mają niewątpliwie wyższą stopę życiową niż Anglia (choćby Szwecja czy Szwajcaria).

Co się stało? Po pierwsze Brytyjczyści utracili ogromne kolonie, które wyzyskiwali przedtem niemiłosiernie. Po drugie — skurczyły się zyski z usług transportowych, ubezpieczeniowych i bankowych (londyńska City była do niedawna bankierem świata). Po trzecie — W. Brytania chcąc w dalszym ciągu odgrywać rolę mocarstwa, utrzymuje znaczne siły zbrojne w strefie „na wschód od Suez”, co jest ponad jej możliwości budżetowe. Po czwarte — gospodarka brytyjska, jedna z najbardziej konserwatywnych na świecie, okazała się niezdolna do rekonstrukcji i modernizacji przez co roczny przyrost produkcji jest tam znikomy. W 1965 r. wzrost produkcji stanowią 1 proc., ale wydajność pracy nie wzrosła nawet o ten 1 proc., bowiem wzrosło zatrudnienie. Natomiast płace wzrosły w tymże roku aż o 9 proc. Podobnie, choć może nie tak drastycznie, było we wszystkich latach powojennych. Widać z tego wyraźnie, że Anglicy żyją ponad stan, żyją na kredyt, którego nie są w stanie spłacać. Na długą metę tak gospodarzyć nie można.

Tymczasem Anglik w pracy jest leniwy (mówi się o tym oficjalnie), a przedsiębiorca brytyjski nie potrafi (czy nie chce) modernizować swego przedsiębiorstwa. Opowiadał mi znajomy, pracujący w przedsiębiorstwie zajmującym się opracowywaniem nowej organizacji pracy i nowej technologii dla innych przedsiębiorstw, że jego zakład ma pełne ręce roboty. Ale co z tego, gdy wykonane wielkim nakładem projekty idą do biurka i nie są wprowadzane w życie. — Nie rozumiem — powiedziałem — przecież oni muszą za te projekty płacić grubszą gotówkę. — Owszem, płacą — padła odpowiedź — ale nie z własnej kieszeni, tylko z podatków, które i tak zapłaciłby państwo. W rzeczywistości więc nie ich to nie kosztuje, udają, że coś robią, a wszystko idzie po staremu.

Co więc ma być dalej? Prawdopodobnie dzięki zmniejszeniu siły nabywczej rynku wewnętrznego o 500 mln. funtów, dzięki pożyczkom zagranicznym itp. uda się utrzymać obecny kurs funta szterlinga. Spadnie jednak dalej stopa życiowa, nadto rysuje się groźba wzrostu bezrobocia, które spowoduje najpewniej podatek od zatrudnionych zmuszający wszystkich przedsiębiorców do ograniczenia personelu do minimum. Nie widać zaś nic, co by mogło spowodować zwiększenie brytyjskiego eksportu, podniesienie konkurencyjności całej gospodarki brytyjskiej. Nie ma się więc co dziwić, że przeciętny Brytyjczyk czarno patrzy w przyszłość, że spodziewa się wszystkiego najgorszego, że nie wierzy optymistycznym wypowiedziom członków rządu.

„CEGIELSKI” MA 120 LAT

Po zakończeniu działań wojennych Zakłady „Cegielskiego” przedstawiały opiekany widok. Dawna fabryka wagonów — zrównana z ziemią. Fabryka parowozów — poważnie uszkodzona. Budynek administracyjny — spalony. Maszyny — wywiezione przez okupanta, bądź zniszczone. Ze sprzętu pozostało tylko to, co Polacy potrafili przed odejściem Niemców ukryć lub... nieszkodliwie zepsuć.

10 lat później wśród załogi trwała swoista licytacja, kto pierwszy przystąpił do odbudowy powalonego wojną kolosa: Paszkowiak, Gierszal, czy może Lutosławski? Dzisiaj te sprawy wydają się mniej ważne, lecz wówczas? Udział w uruchomieniu zakładów, a tym bardziej w pracach pierwszej rady robotniczej, był ceniony niezwykle wysoko.

Tych „pierwszych” było sporo. Oni to ożyli martwą elektrownię zakładową i dali miastu pierwszy prąd, oni tworzyli grupy rewindykacyjne, szukające po Niemcach wywiezionych maszyn, oni to — jeszcze w czasie wojny — montowali z pozostałości części parowozu i wysyłali je na front z transportami broni, oni dali zburzonej Warszawie pierwsze tramwaje itd. itp. Szkoda tylko, że z papierkami obchodzili się niefrasobliwie. Historyk nie znajduje wielu protokołów zebrań i narad, oddających atmosferę tamtych dni. Ludzie pracowali nie pytając, kto i kiedy im zapłaci. Nie uwieczniali też swej sławy na papierze.

W lutym 1945 roku powstało przy zakładach biuro konstrukcyjne. W wrześniu tegoż roku — dzisiejsze Centralne Biuro Konstrukcyjne (CBK). Rok później zakłady przekazały PKP tysięczny po wojnie parowóz i pierwszy nowoczesny wagon osobowy rodzimej konstrukcji. Później historia toczyła się warto. Zatrudnienie i produkcja rosły

jak na dróżkach. Jedynym hamulcem jeszcze szybszego wzrostu wytwórczości były: niedostatek wyrobów hutniczych (huty dopiero się rozbudowywały), oraz stosunkowo niskie kwalifikacje sporej części zatrudnionych, rekrutujących się ze wsi. Jednak z biegiem lat hamulce te traciły na znaczeniu. Zakłady dostarczały krajowi co roku większą liczbę parowozów, wagonów, o-

Piotr Chojnacki

Dojrzałość

brabiarek, parowych maszyn okrętowych, ciężkich pras i innych potrzebnych gospodarce wyrobów, a także — co było wówczas niemiernie ważne — doświadczonych, ofiarnych ludzi.

W pierwszym powojennym dziesięcioleciu „Cegielski” był przysiółką kuźni kadr. Nie było mienia, by w zakładach nie przebywały komisje, poszukujące kandydatów do różnych służb i szkół: „dyrektorskich”, oficerskich, milicyjnych, dyplomatycznych, rolniczych, mechanizatorskich itd. itp. Pracownicy, wyróżniający się postawą społeczno-zawodową i inteligencją, robili oszałamiające kariery. Awansowali na dyrektorów fabryk i centralnych zarządów, przewodnicząc rad narodowych i kierowników POM, dyplomatów i dziennikarzy. Nigdy jednak nie zrywali oni kontaktów z macierzystym zakładem. Wielu z nich, po latach, do niego powróciło. Inni, jak np. daw-

ny tokarz a dziś wiceminister komunikacji — Walenty Szablewski, niemal przy każdej bytności w Poznaniu odwiedza przyjaciół w HCP.

Trudno w kilku zdaniach określić społeczne znaczenie wielorakich funkcji spełnianych przez załogę zakładów noszących imię Hipolita Cegielskiego.

Bezsporne jest znaczenie „Cegielskiego” dla gospodarki kraju. Zakłady dają dzisiaj 90 procent krajowej produkcji silników okrętowych i 100 procent automatów to-

karskich typu „rewolwerowego”. To — ważniejsze pozycje. Obok nich zakłady dostarczają lwia część krajowej produkcji silników trakcyjnych i agregatów, sprężarek, aparatury paliwowej dla wielkich motorów, a obecnie przystąpiły także do produkcji tak bardzo krajowi potrzebnych lokomotyw spalinowych dużej mocy.

Do tego dochodzi tak zwany margines: oświetlenie rowerowe, butle do gazu, kanistry do benzyny, szpuły przedalnicze, tłoczone części obudowy motocykli i samochodów, kaloryfery, narzędzia itp. O skali tego „marginesu” mówi choćby tylko jedna pozycja: oświetlenie rowerowe. „Cegielski” wytwarza 500 000 kompletów (dynamo-lampy) rocznie. Zajęcie dla sporej fabryki!

Z kolei — parę słów o „Cegielskim” na tle Wielkopolski. HCP zatrudnia więcej ludzi i daje więcej produkcji niż niejedna branża

przemysłowa, reprezentowana przez kilkanaście fabryk. Gdyby jego załogę zebrać razem, to wraz z rodzinami stworzyłaby miasto wielkości Gniezna (50 tys. osób). Gdybyśmy dodali do tego rodziny tych pracowników, którzy pracują wprawdzie w innych przedsiębiorstwach lecz dla potrzeb „Cegielskiego”, stworzyłoby razem miasto wielkości Kalisza (80 tys. osób).

Bo rozejrzyjmy się dobrze. Huś to ludzi żyje w „Cegielskim”? Robotnicy i inżynierowie dawnego oddziału „Cegielskiego” — „Pometu” (dostarczają odlewy), „Stomila” (wyroby gumowe), Poznańskich Zakładów Okuć (zamki, klamki itp.), Spółdzielni Pracy w Grodzisku (fotele do wagonów), Spółdzielni Pracy w Kaliszu (kształtki aluminiowe) i wiele innych zakładów. Razem około 3.000 osób. I to tylko w Wielkopolsce!

Dodać trzeba liczną grupę, żyjącą pośrednio z „Cegielskiego”: około 500 kolejarzy i pracowników PKS, dowożących zakładom ludzi i materiały (rocznie 9,5 tysiąca wagonów i 43 000 ton drobnicy są miedzy innymi); co najmniej drugie tyle pracowników handlu, obsługujących „cegielszczaków” i ich rodziny; dochodzą tramwajarze i pocztowcy, pracownicy gazowni i elektrowni, wodociągów i szkół. Łańcuch wzajemnych powiązań i zależności jest niezwykle długi i skomplikowany. A pierwszym ogniwem tego łańcucha są „cegielszczacy”.

Ogniwo to wciąż rośnie. Zakłady stale się rozbudowują i przyjmują ludzi do pracy: w „centrali” w Poznaniu i w nowych oddziałach w Wągrowcu i Śremie. Idąc z duchem czasu zmieniają profil produkcji. 9 lat temu przestawiły się (w biegu) z parowozów na silniki okrętowe. W ciągu tych 9 lat, wypuściły w świat milion mechanicznych koni za kłetych w ciężkich motorach. Drugi milion koni dadzą już w ciągu 3 lat, trzeci — chyba jeszcze prędzej.

Aż się wierzyć nie chce, że na początku był... sklepik z narzędziami.

— Czy to jest pańskie zawodowe credo?

— Można to z biedą określić jako credo. Nie znaczy ono jednak wcale, że trzeba się wyrzec tematów trudnych. Przeciwnie, sztuka polega na tym, by problemom najbardziej skomplikowanym nadać przejrzystą formę.

— Co też Pan czyni w swoim doskonałym wierszu pt. „Piaszcz”. Porusza Pan tam zagadnienia kluczowe naszych czasów — nie zawahałabym się powiedzieć — zagadnienia kluczowe ludzkości w jakże zwięzłej, skróconej, a zarazem pełnej humoru formie. I nie ma tam napuszonej, ani wzniosłości, które często towarzyszą słowom o rzeczach wielkich i ważnych...

— Wzniosłość i napuszenie to grób satyry. A w ogóle współczesny człowiek źle znosi tzw. wielkie słowa. O wiele bliższa jest mu ironia i autoironia nawet w sferze intymnych emocji.

— A zatem — dowiec... We wspomnianym tu już „Zwierzeniu” tak Pan go określa:

„Dowiec — to myśl, która stoi na głowie, a do Was pasuje jak uł!”

Czy znaczy to, że trzeba stanąć na głowie, żeby wymusić dobry, celny dowcip?

Dokończenie na str. 2

Tygodnia

ODDZIAŁ GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 252 28 VIII 1966 r. Rok VI

Barbara Mosiężna

ŚWIADEK ZBRODNI

Janówiec Wielkopolski leży tuż poza granicami naszego województwa — w bydgoskim. Na krańcach tego niewielkiego miasteczka — przy ul. Rolnej — stoi dom z którego codziennie rano przed siódmą, wyjeżdża rowerem do pracy do pobliskiego Mieleszyna — jeden z rodowitych obywateli Janówca — Ludwik Cwikliński. Zazwyczaj jedzie szybko aby jak najprędzej przebyć kilkukilometrową trasę i zanim pani Barbara — jego żona — zdąży wyrzucić przez okno, już pochylona postać męża niknie za zakrętem szosy. Są jednak dni, kiedy jest zupełnie inaczej. Takie dni są zwykle następstwem czyichś odwiedzin, czy świątecznej pogawędki — kiedy to ludzie lubią wspominać dawne czasy. Ludwik Cwikliński jedzie wtedy do pracy wolno. Przystaje odpocząć, pali papierosa po papierosie; jest chory i obolały od nawrotu obrazów rozgrywających się w niesamowitej scenarii, a reżyserowanymi 27 lat temu rękoma zbrodniarzy. Niebieskie oczy żony z troską patrzą w takie dni za odjeżdżającym na rower mężem, bo wie ona że Ludwik chciałby zapomnieć, zatrzeć w pamięci koszmarnie tamtych dni. Wie jednak również, że jest to niemożliwe, że są rzeczy i sprawy, których zapomnieć się nie da. Więcej — mimo udręki wspomnień zapomnieć nie wolno.

Rankiem 8 września 1939 roku, dwudziestoletni wówczas Ludwik Cwikliński jechał na rowerze tą samą drogą, którą przemierza teraz codziennie w drodze do pracy. Przez Mieleszyn na Kłocko i Gniezno. Tak jak wielu chłopaków z Janówca spodziewał się trafić w Gnieźnie na jakiegoś dowództwo wojskowe, które pozwoli mu walczyć w obronie kraju. W Kłocku jednak, opuszczonym jak Janówiec przez wszystkie władze i urzędy, zastał ludność sposobną się do walki. Szała wieść, że uzbrojone oddziały Niemców, zamieszkanych w obrębie Gniezna, niszczą, rabują i sieją zamęt w okolicy. W Kłocku brakowało broni. Razem więc ze swoim starszym bratem i kolegami z Janówca — Rosowskim i Raczyńskim, którzy również znaleźli się w Kłocku — Ludwik Cwikliński pojechał do Gniezna, gdzie zorganizowano, tak jak w wielu miastach polskich, Batalion Obrony Narodowej, zaopatrywany chętnych w karabiny maszynowe wydobyte z porzuconego przez wojsko pociągu. Do Kłocka wrócili dwoma naładowanymi ludźmi ciężarówkami — ochotnikami z Kłocka, Janówca, Gniezna a nawet Wągrowca.

Tak zaczęła się walka w obronie miasta, które już po raz trzeci w swej historii stało się Redutą Gnieźnieńskiej Ziemi.*

Kłocki szaniec obrońców ojczyzny nie mógł się jednak długo ostać przed napierającą, po zęby uzbrojoną, hitlerowską armią. 9 września

Dokończenie na str. 2

ZWIERZENIA SATYRYKA ZE ZNAKIEM Q

— Napisał pan kiedyś w „Szpilekach”,

„Satyryk — to nie literat.

Przyznaje — nie wszczynam sporu:

Człowiek dopiero czuje się wielki,

gdy traci poczucie humoru”.

Czuje sarkazm w tym stwierdzeniu. Czyżby miał pan kompleks wobec innych gatunków literackich?

— O, nie, absolutnie nie. Jakkolwiek nader sceptycznie oceniam moje dotychczasowe osiągnięcia twórcze, — to z pełnym nabożeństwem odnoszę się właśnie do gatunku literackiego, który uprawiam. Ironia zawarta w tej frasce, dotyczy właśnie krytyków i twórców, którzy gatunek ten lekceważą, albo udają, że lekceważą. Ubolewam, że mogła to pani inaczej odczytać...

— Odczytałam prawidłowo, ale chodziło mi o punkt zaczepienia...

— O zaczepkę po prostu?

— Przepraszam. W pańskim wierszu „Zwierzenia humorysty” jest passus:

„Autor ma męczyć się tak długo,

żeby czytelnik już nie musiał!”

Czyli, że sposób podania winien być prosty, przejrzysty, i zrozumiały dla każdego...

— ...każdego przeciętnie inteligentnego odbiorcy.

Rozmowa
z Marianem Żaluckim

VI Międzynarodowy Festiwal Piosenki w Sopocie dobiega końca. Znamy już nagrodzone piosenki zagraniczne oraz nazwiska nagrodzonych piosenek krajowych. Na zdjęciu: piosenkarka grecka Angela Zilla wykonawczyni nagrodzonej przez jury piosenki greckiej Georga Mouzakisa „Cyganeria”.

CAF - fot. Szyperko



ZWIERZENIA SATYRYKA

Dokończenie ze str. 1

— O, czasami i to nie pomoże! Niekiedy jednak można wymyślać dowcipy w pozycji zupełnie normalnej, zwłaszcza gdy na głowie stoi otaczający satyryka świat. Wówczas potwierdzają się niezawodnie najbardziej nawet niedorzeczne — jak by się zdawało — paradoksy...

— Czy słuszność i trafność dowcipu uważa pan za jego najwyższy walor?

— Waler, ale nie najwyższy. Wyżej jeszcze cenię jego śmieszność, jego siłę komiczną, czyli zdolność wywoływania u słuchacza, względnie czytelnika reakcji intelektualno-estetycznej, wyrażającej się w szeregu skurczów odruchowych mięśni twarzy, połączonych z urywanymi i szybko po sobie następującymi wydechami oraz z właściwą intonacją głosu...

— Brrr!...

— Proszę się nie niepokoić. Tak właśnie określa się w „Podręcznym słowniku języka polskiego” śmiech.

— Niezachęcające. A jaki rodzaj śmiechu pragnąłby pan budzić swoimi utworami?

— Śmiech, który byłby wynikiem widzenia zjawisk i zagadnień życia poprzez pryzmat tolerancji, pobłażania, zrozumienia dla słabości własnych i cudzych. Idealny satyryk winien być łączyc w sobie liryzm poety z obiektywnym intelektem prozaika. Nie mówiąc już oczywiście o poczuciu humoru, która to cecha wydaje mi się naturalnym atrybutem każdego inteligentnego i psychicznie normalnego Polaka. Satyra nieśmieszna, koturnowa, gromiąca — absolutnie mija się z celem, nie trafia do nikogo, nie przekonuje i jest dla odbiorcy jeszcze jednym przejawem tzw. drętwej mowy — i słusznie! Śmiech — samorodny, odruchowy śmiech — jest wyrazem nagłego olśnienia, odkryciem lub częściej świadomością siebie noszonych od dawna w głowie i w sercu, ale dotąd samodzielnie nie sformułowanych prawd czy tylko spostrzeżeń... Co nie znaczy, że każdy dowcip jest olśniewający. Przeciwnie — jest ich niezmiernie mało...

— Dlaczego?

— Dlatego, że narodziny dobrego dowcipu są również dla jego twórcy równie radosnym jak rzadkim momentem olśnienia i trudno się jakoś w tej dziedzinie zrutyinizować. Raczej jest to zupełnie niemożliwe, stąd po dwudziestu latach praktyki pisarskiej i kilkunastu estradowej w dalszym ciągu zasiadam nad białą kartą papieru bezradny i pełen niewiary, przeklinając swój smutny los profesjonalnego humorysty.

— Humorysty czy satyryka?

— Staram się nie rozgraniczać. A pani kogo woli?

— Satyryk — to brzmi dumnie.

— Widzi pani, znowu się nie zgadzamy. Satyra budzi przeważnie aplauz głośniejszy i może bardziej spontaniczny niż czysty humor, ale źródło tego aplauzu posiada charakter raczej pozaartystyczny. Czysty komizm natomiast jest kategorią estetyczną, bardziej trwałą i nieprzemijającą niż aktualne racje polityczne, czy społeczne, z których wynika doraźna aproba dla utworu satyrycznego. Tylko prawdziwy komizm może utrwalić utwór satyryczny jako dzieło sztuki. Komizm jest waleorem stale przez publiczność poszukiwanym właśnie ze względu na jego niezmiernie trudną osiągalność. Ja sam — jako wykonawca estradowy własnych wierszy — całymi miesiącami nie mogę doprosić się Załuckiego — satyryka, żeby coś nowego dla mnie napisał na scenę...

— Taki leniwy?

— Ba! Zbyt wiele mnie z nim łączy, żebym mógł szczerze powiedzieć, co o nim naprawdę myślę.

Rozmawiała: EWA BERBERYUSZ



PRESTIŻ NAUCZYCIELA

Zbliżający się początek roku szkolnego jest okazją do refleksji nad problemami szkoły. „Polityka” zajęła się w tej okazji problemem prestiżu zawodu nauczycielskiego, o czym szczególnie często mówi się w środowisku pedagogów. Redakcja zorganizowała na ten temat dyskusję, w której podsumowaniu stwierdza:

„Zwróciła (dyskusja — przyp. lekt.) uwagę na pewne przemiany dokonujące się wewnątrz środowiska nauczycielskiego. Pozytywnie należy bowiem ocenić powszechną dążność nauczycieli do podnoszenia kwalifikacji, do zdobywania wiedzy. Dyskusja zwróciła uwagę jednak również na pewne niedociągnięcia występujące w pracy administracji szkolnej. Na zbyt duże skrepowanie nauczycieli, na brak zielonego światła dla ich

twórczych poszukiwań, (...) Czy odpowiedział na pytanie: jaki jest prestiż zawodu? — raczej nie. Zwróciła jednak uwagę na wysoką z jednej strony pozycję zawodu w badaniach socjologicznych i na pewien niedosyt prestiżu wśród samych nauczycieli.”

Z pewnością publikacja ta wywołała dyskusję w środowisku nauczycielskim, czego zresztą oczekuje redakcja „Polityki”.

CZY MUSZĄ BYĆ OGONKI

Ten sam tygodnik w drugim z kolei artykule (o pierwszym pisaliśmy przed tygodniem) Zygmunta Szelię porusza sprawę ogonków przed sklepami. Tym razem autor stara się odpowiedzieć m. in. na pytanie, czy obecnie są jeszcze wystarczające przyczyny obiektywne, usprawiedliwiające rozmiar zjawiska zwanego kolejkami.

Zdaniem publicysty mimo pewnych sporadycznych braków zaopatrzeniowych podstawowe problemy w tej dziedzinie — przynajmniej jeśli chodzi o ilość produktów — są rozwiązane. Tym bardziej więc aktualne staje się hasło likwidacji ogonków jako zjawiska społecznego. Przyczyną powstawania ogonków są dzisiaj nie braki zaopatrzeniowe, lecz niedostatki organizacyjne:

TURYSTA CONTRA GOSPODARKA POWIATU

Problem opłacalności turystyki

Dawno już z taką satysfakcją nie czytałem zbioru rozpraw, artykułów i esejów krytycznych związanych z polską literaturą, jak tomu „Sztuka czytania” Henryka Beręzy. Beręzę często czyta się w czasopiśmie, dopiero wszakże przy tak pełnym zbiorze można się rozsmakować w erudycji autora, samodzielności i trafności sądów oraz, a może nade wszystko w wielkiej kulturze i niesłychanie rzadkim u naszych współczesnych Zoilów takcie. Beręza prezentuje przez omówienia wybranych utworów sylwetki ponad 30 polskich pisarzy, osobno zajmując się jeszcze niektórymi z krytyków. Oceny jego mają charakter uogólniający, szukający syntezy, spoglądający przez dzieło na indywidualność autora. Bardzo polecam wszystkim zainteresowanym współczesną literaturę polską tom Beręzy — można się z niego wiele dowiedzieć i wiele zrozumieć.

I druga nader satysfakcjonująca lektura — nowy tom przypowiadestw filozoficznych Leszka Kołakowskiego „13 bajek z królestwa Lailonii dla dużych i małych”. Szeroka problematyka postaw etycznych, wglądnięcie w zawiłe sprawy moralne, szukanie wyrazu naszym czasom i próba jego śmiałości, odważnej interpretacji. Jak zawsze, multum analogii do współczesności, kpina szycerza i zaduma myśliciela, propozycje pewnego programu i niekiedy pięknoduchowska zabawa. Na domiar, jak to pisane, jaką polszczyzną, jak niebawale inteligentnie! Przeurocze są te „bajki” i bardzo mądre.

Od „bajek” przejdźmy do relacji pamiętnikarsko-wspomnieniowych będących zarazem szczególnym, bardzo osobistym obrachunkiem, tak z sobą samym

jak i z poznanym światem artystycznym i polityki. Myślę o trzeciej księdze wspomnień Ilii Erenburga „Ludzie, lata, życie”. Wspomnienia obejmują obecnie okres lat 1921—31, z tym, iż jak zawsze, u Erenburga, autor, zwłaszcza przy szkicowaniu sylwetek postaci, z którymi był bliżej związany, zarówno cofa się niekiedy wstecz, jak wybiega naprzód. Widzimy to przy portretowaniu Tuwima czy Babla albo Pascina. A w ogóle, szeroka galeria typów, indywidualności, anegdota

Eugeniusz Pauksza

W witrynie „Czytelnika”

i nuta smętnej zadumy, pikantna opowieść i obok osad goryczy. W tych wspomnieniach jest cały Erenburg, i z tym, co imponuje w jego twórczości i z tym, co niekiedy drażni czy zgola nudzi. To ostatnie wszakże w żadnym razie nie tyczy omawianych wspomnień.

A teraz słów kilka o prawdziwym cacku edytorskim, jakim jest przepiękne wydanie „Szachów” Jana Kochanowskiego, ze wstępem Juliana Krzyżanowskiego, z ilustracjami i w opracowaniu graficznym Władysława Brykczyńskiego. Jak na ogół wiadomo „Szachy” oparte są na pierwotnym wierszu, tak wszakże zostały zmodyfikowane, iż stanowią w zasadzie rzecz oryginalną, utwór, świadczący tak o wielkiej już dojrzałości pisarskiej młodego naówczas poety, jak i o jego wielkim humanizmie, pragnieniu ukazowania i

wpływania na losy ludzkie, nawet poprzez humoreskę, pozorne niefrasobliwość i marginalną. Warto wczuć się w ten utwór, zdając sobie sprawę, jaki szalony krok naprzód stanowi on w zastępowaniu łaciny jędrną, piękną polszczyzną.

Przechodząc do prozy artystycznej współczesnej, pragnęlibym zwrócić uwagę na nowy tom Adama Strusia „Prostokąty”. O autorze, lekarzu z zawodu, pisalem przy prezentowaniu czytelnikom poprzednich jego tomów, zwłaszcza świetnego debiutu „Rok w miasteczku”, gdzie realistyczne widzenie świata konkurowało z umiejętnością jego ukazania przez kształt artystyczny. W nowym tomiku, zawierającym trzy opowiadania, Struś powraca do najlepiej mu znanej i zarazem najbardziej go pasjonującej tematyki środowiska lekarskiego, ukazanego tak na tle szpitala, jak i świata zewnętrznego. Świat nie obserwuje, nowe ukazanie wielu zjawisk, odważne nazywanie pewnych spraw po imieniu, a obok nutka ironii, przekipiny, gdzie indziej zaduma nad człowiekiem widzianym z perspektywy sali szpitalnej, przy tym duża doza humanizmu. A zarazem świetny zmysł konstrukcyjny akcji, żywej i wciągającej czytelnika. Czegoż trzeba więcej?

Zakończę dzisiejszy przegląd zaanonsonowaniem nowego wydania „Opowiadań” Tomasza Manna w przekładzie Leopolda Staffa, a postawieniem Romana Karsta. Tom mieści opowiadania: „Pajac”, „Tonio Kroger”, „Katastrofa kolejowa”, „Pan i pies”, „Mario i czarodziej”, a więc czołowe utwory z nowelistyki Manna.

Z KSIĄŻKA NA TY

ŚWIADEK ZBRODNI

Dokończenie ze str. 1

po południu, hitlerowski Wehrmacht wkroczył do Klecka. Całą ludność miasta spędzono na rynek. Za częścią selekcja. Większość mężczyzn ustawiono na prawej stronie rynku. Było ich przeszło trzystu. Uformowano 16 pierwszych trójek, które w otoczeniu 50 żołnierzy niemieckich prowadzono w stronę Polskiej. W trzeciej trójce szedł Ludwik Cwikliński ze swoim bratem i Raczynskim — towarzyszem z drużyny piłkarskiej w Janówcu. W czasie tego śmiertelnego marszu natknęli się na chłopca — w wieku lat 12 lub 13, który schodził z górki wiodącej z Klecka na przedmieście, z torbą naładowaną chlebem. Jeden z żołnierzy wyrwał mu torbę, rzucił na ziemię i mówiąc „nie będzie ci już ten chleb potrzebny” wtoczył chłopca w szeregi prowadzonych.

Na łące, niedaleko rzeki opasano obrońców Klecka sznurami i tak czekali aż do przyjazdu jakiegoś wyższego oficera, który w towarzystwie innych przyszedł i zapytał po niemiecku, czy ktoś z tej grupy nie jest Niemcem. Wtedy kolega Ludwika Cwiklińskiego z Janówca, biorący razem z nim udział w walce — Zygfryd Wawrzynkowski — powiedział, że ma matkę Niemkę. Hitle-

rowcy przejrżeli jego dowód osobisty i pozwolili mu odejść. Oficerowie odjechali, a śmiertelna cisza, która zapanowała po tym przerywał tylko lament chłopca, „co powie moja mama jak ja z chlebem nie wrócę”.

Po pewnym czasie od strony Klecka ze śpiewem „Heili, heilo” przemarszerował oddział żołnierzy. Z grupy Polaków kazali wyjść dziesięciu, kładąc kilka metrów dalej na jedno kolano z rękoma założonymi na tył głowy. Tych, którzy się ociągali, poganiłi kluciami bagnętów. W drugiej dziesiątce znalazł się Ludwik Cwikliński ze swym bratem oraz Raczynskim i Rosowskim, — kolegami z Janówca. Kiedy oficer, dowodzący mordczym oddziałem podniósł kij, dając komendę do strzałów, Ludwik Cwikliński rzucił się na ziemię, padając na nogi przed nim pomordowanych towarzyszy. Słyszał strzały, ale czuł, że go nigdzie nie trafiły. Brat padł na jego prawą rękę i jego krew lała się na niego ciepłą strugą.

Przy rozstrzeliwaniu trzeciej dziesiątki zaczęły gdzieś z daleka, odzywać się strzały. Wtedy Niemcy spędzili resztę na zabitych i strzelali tak długo, aż przestały dochodzić jęki. Ludwik Cwikliński stracił wtedy przytomność, a gdy się ocknął żołnierz Wehrmachtu — świecą, bo zrobiło się już ciemno — dobijali rannych. Wstrzymał oddech i Niemcy się oddalili.

Kiedy wyczołgiwał się spod stosu trupów natknął się na rannego, też jeszcze żyjącego, Rosowskiego. Zachęcał go do czołgania się jego śladem. Ale jak się dowiedział, już po

wojnie, tylko jeszcze dwóm prócz niego udało się uratować. Byli to obywateli Klecka — nauczyciel Czesław Antoszewski i Marcin Chybicki. Antoszewskiego, który ukrywał się w Warszawie, rozpoznał w roku 1942 jakiś Niemiec, mieszkający przed wojną w Klecku. Gestapo sprowadziło go do Poznania i rozstrzelało. Chybicki zmarł kilka lat temu w Klecku.

Zyciorys Ludwika Cwiklińskiego nabrzmiał jest tragedią wojennych dni Polaków. Ukrywał się pod obcym nazwiskiem, pracując w Sochaczewie pod Warszawą. Pod zarzutem sabotażu został tam w roku 1943 aresztowany i wywieziony do obozu koncentracyjnego w Mauthausen. Po oswobodzeniu obozu przez wojska francuskie i amerykańskie był strzępem człowieka. Przez półtora roku, zanim powrócił do kraju, leżał w szpitalu w Innsbrucku.

*

Co roku we wrześniu Ludwik Cwikliński z żoną i trzema córkami odwiedza Klecko. Zabierają z sobą bukiet kwiatów, z przydomowego ogródka i składają pod obeliskiem, który stoi w miejscu, gdzie 9 września 1939 roku hitlerowski Wehrmacht wymordował bestialsko obrońców tego skrajka ojczystej ziemi.

* Już w roku 1331 mieszkańcy Klecka bronili swego miasta przed napadem Krzyżaków, dowodzonych przez Teodoryka z Altenbergu. 8 maja 1656 r. utworzyli własną milicję, pod wodzą piwowara Tataka stawili opór Szwedom.

BARBARA MOSIŹNA

ZA ILE!

„Nie czarujmy się. Każdy kibic piłkarski wie, że nie jesteśmy amatorami” — tak napisał niedawno w „Trybunie Ludu” Krzysztof Baszkiewicz, przed paru laty znany piłkarz warszawskiej Gwardii. Skoro tak jest — a o tym, że słowa te nie odbiegają dalece od prawdy, wie prawie każdy — to wypada zapytać, czy jest to sytuacja dobra. Zastanawia się nad tym Włodzimierz Stepiński w „Walec Młodych”. Autor widzi bardzo istotne niebezpieczeństwa w uprawianym w naszym kraju systemie przywilejów dla piłkarzy. Większość piłkarzy uważa, że im się wszystko należy, natomiast w zamian — jak sądzi — nie muszą zbyt wiele dawać. Spotkano się nawet w jednym z klubów z szantażem: dajcie więcej — będziemy lepiej grać. W związku z tym czytamy:

„Jeśli nie ma możliwości wprowadzenia w kraju piłkarstwa zawodowego, czy jego odmiany — piłkarstwa kontraktowanego, to trzeba się zastanowić, gdzie istnieje powinna granica przywilejów, do jakiej granicy piłkarz może żądać, a w jakich konkretnych wypadkach można stawiać żądania piłkarzowi? Do tej pory przyzywczajono piłkarzy, że mają tylko prawo żądać. I na tym koniec. Stworzono taki klimat. A sportowcy mogą mieć przesyty albo niedosyt

piłki, mogą mieć kontuzje albo złe samopoczucie, może im się wreszcie źle tego dnia grać, ale uważają, że i tak należy im się za to bardzo wiele.”

*

„ITD” publikuje wywiad z prof. Janem Zygmunt Jakubowskim poświęcony ciekawym problemom nauk humanistycznych — tytuł „Godność humanistyki”. „Życie Literackie” drukuje artykuł dziennika „Rude Pravo” (autor Emil Szip) pt. „O socjalizmie, „zburzaniu” i obowiązkach internacjonalistycznych.” W „Kulturze” w kolejnej publikacji z cyklu „Wielka trójka polska” Włodzimierz T. Kowalski pisze o Józefie Stalinie. W tym samym tygodniku Kalkit Morawski w cyklu „Teatrzy nieznane” publikuje artykuł o polityce repertuarowej teatru gnieźnieńskiego. W „Tygodniku Kulturalnym” Bolesław Bartoszewicz w artykule „Uczni w miasteczkach” pisze o pozytywnej roli studiów regionalnych, prowadzonych przez Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauki. „Głos Nauczycielski” piórem Marii Kruk pisze o problemie zapewnienia mieszkań nauczycielom wiejskim w artykule „Brak możliwości czy bezradność?”. W „Tygodniku Demokratycznym” znajdujemy rozmowę z mł. sprawnym i walecznym prof. dr. Stanisławem Walickim pt. „Kiedy surowość a kiedy pobłażliwość?”. „Motor” przedstawia nowy model samochodu „Wartburg 1000”, publikując informacje techniczne i pierwsze wrażenia z jazdy.

LEKTOR